Nr. 23—24 We Lwowie, 1 grudnia 1934 Rok 56



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

ODEZWA!

Do niniejszego numeru dołączamy blankiety czekowe z wypełnioną ołówkiem kwotą zaległości.

Upraszamy usilnie naszych Członków, by zaległości swoje natychmiast uregulowali, gdyż wobec zbliżającego się nowego roku kalendarzowego musimy już teraz uregulować nakład wydawnictwa na przyszłość. Od stycznia 1935 zaprzestaniemy wysyłkę „Łowca" bezwzględnie tym wszystkim Członkom, których nam nasza rachuba wykaże jako jeszcze zalegających z wkładkami.

Nie taimy też, że położenie finansowe Towarzystwa jest nader trudne i że od dopełnienia zobowiązań pieniężnych ze strony naszych Członków zależą dalsze jego losy.

Z WYDZIAŁU
MAŁOPOLSKIEGO TOW. ŁOWIECKIEGO

Doc. Dr. KAZIMIERZ WODZICKI

O Białkowieckich gawronach i pustułkach i nieco o ich wędrówkach

„Takie rzeczy jak budowę atomu, urodzenie się dziecka, teorję względności, przebicie tunelu przez górę, przesłanie mowy ludzkiej za pośrednictwem eteru z jednego kontynentu na drugi — rozumiemy. Albo wydaje się nam to, że jest tak, a nie inaczej.... Ale coroczny, dokładnie o tej samej porze roku następujący powrót ptaków wędrownych?

William Rowan — The Riddle of Migration, Baltimore, 1931.

Niewątpliwie wędrówki ptaków należą do najbardziej zagadkowych zjawisk biologicznych w przyrodzie ożywionej. Już Homer w pieśniach swoich wspomina o kluczach ciągnących ptaków, od tego też zapewne czasu usiłują uczeni wytłumaczyć i wyjaśnić przyczyny i przebieg wędrówek rozmaitych gatunków w różnych krajach — przyznać trzeba, że jak dotąd bez możności dania ostatecznego i dostatecznego wyjaśnienia tego niewątpliwie nadzwyczaj skomplikowanego zjawiska.

Nowa era w badaniach nad wędrówkami ptaków datuje się od wprowadzenia na szerszą skalę, zresztą już dawniej znanego zabiegu znaczenia ptaków przy pomocy obrączek, przez skromnego duńskiego nauczyciela M o r-

tensena, który pierwszy na większą skalę zaczął tę metodę stosować w swojej ojczyźnie. — Z biegiem lat wszyscy ornitologowie zajmujący się problemem wędrówek zaczęli stosować tę metodę, wprowadzając ten najbardziej może interesujący szerokie sfery miłośników przyrody problem na zupełnie nowe tory. Dzięki tym badaniom, poznaliśmy w ostatnich dziesiątkach lat najpierw



zimowiska szeregu gatunków ptaków europejskich, potem szlaki po których poszczególne gatunki podążają, wiek ptaków, wreszcie potwierdzone spostrzeżenia dawniejsze, odnośnie do „przywiązania" ptaków w stosunku do ich ojczyzny.

Przez długie lata naszej niewoli i braku własnego Państwa, Polska była na rysowanych kartach przelotów białą plamą. Dopiero istniejąca od kilku lat, założona przez czynniki rządowe, za inicjatywą znanego naszego przyrodnika Prof. U. Jag. Dra Michała Siedleckiego, Stacja do badania wędrówek ptaków w Warszawie, pod kierownictwem Prof. Dra J. Domaniewskiego, rozpoczęła energiczną działalność, o czem świadczą jej sprawozdania, bodaj i na tem miejscu w wyciągach podawane do wiadomości P. T. Czytelników „Łowca".

Wybaczą mi zapewne Czytelnicy ten przydługi wstęp, jak na tytuł skromnego sprawozdania z okolicznościowych i nielicznych zresztą zupełnie badań nad wędrówkami ptaków, przeprowadzonych u p. Antoniego Sykory w Białkowcach, powiatu zborowskiego, przy jego wytrwałym współudziale, które jak się okaże, dały bardzo interesujące, jak dotąd wyniki.

Wśród dawnego ongiś stepu, obecnie gęsto zamieszkałego, północno-wschodniej części powiatu zborowskiego, o charakterystycznych po wąwozach i jarach pochowanych wioskach, istnieje pewnego rodzaju naturalny rezerwat w postaci sporego parku białkowieckiego, zajmujący dla przyrodnika, ze względu na pojawiającą się tam faunę. Wśród pól zupełnie bezdrzewnych i w dalszej okolicy, znajduje się odbijający już z daleka ogród dworski, stanowiący naturalne schronienie dla wszystkich ptaków, żyjących i rozmnażających się na drzewie, których nęcą otaczające żyzne pola i łąki. Obok mnóstwa sikor, bargli i dzięciołów, spotykamy tu gromady różnych gatunków ziarnojadów, gnieździ się obficie pożyteczna postułka, wreszcie większością wyższych drzew zawładnął (ku wielkiemu uprzykrzeniu właściciela, kochającego inne ptactwo) gawron w zwykłej, tłumnej, hałaśliwej i czarnej gromadzie. Ponadto okoliczne łąki przemienione przez właściciela w stawy, stanowią bądźto miejsce gnieżdżenia się, bądźto przynajmniej rodzaj stacji odpoczynkowej dla całego szeregu gatunków ptaków wodnych lub błotnych.

Opisane warunki tej, jakby można rzec, naturalnej stacji ornitologicznej sprawiły, że postanowiliśmy zbadać dokładniej obyczaje niektórych mieszkańców białkowieckiego ogrodu. Najwięcej zastanawiała nas kwestja gawronów: pojawiały się one licznie na wiosnę, gnieździły i wychowywały co roku, niestety liczniejsze potomstwo, poczem przy zbliżającej się zimie, przerywały codzienne hałaśliwe wieczorne sejmy, i znikały, nie pojawiając się aż przy zbliżającej się następnej wiośnie. Z innych obserwacyj wynikało, że może przenosiły się one w inne, bardziej odpowiadające im na zimę okolice powiatu, gdyż znowuż w zimie na południu powiatu, zauważono wielkie gromady tych ptaków.

Dopiero jednak obrączkowanie młodych gawronów przeprowadzane przez 2 lata z rzędu, dało częściowe wyjaśnienie co do obyczajów naszych czarnych ptaków. — Szczęśliwym zbiegiem okoliczności już po zaobrączkowaniu około 100 osobników, uzyskała nasza stacja badania wędrówek, za pośrednictwem afiljowanych z nią stacyj zagranicznych, dotąd wiadomości aż co do 5 ptaków, które podaję poniżej na tabelce.

Gatunek	data obrączk.	data zastrzelenia	miejscowość i kraj
Gawron posp. (Trypanocorax frugilegus L.)	9 VI. 1933	2 XI. 1933	Tesen koło Portogruare, Italia
„ „ „ „	8 VI. 1933	8 XII. 1933	Cislage koło Varese, Italia
„ „ „ „	8 VI. 1933	17 XII. 1933	Limoges, Dep. Haute Vienne, Francja
„ „ „ „	8 VI. 1933	23 XII. 1933	St. Germain au Salembre, Dep. Salembre, Francja
„ „ „ „	8 VI. 1933	pocz. I. 1934	Bourg sous la Roche, Dep. Vendée, Francja
Pustułka (Cerchneis tinnunculus L.)	21 VI. 1932	31 VIII. 1933	Słobódka Strusowska, p. Trembowla
„ „ „	20 VII. 1932	27 I. 1934	Sfakora, wyspa Korfu, Grecja
„ „ „	20 VII. 1932	10 I. 1934	Wiktorówka, pow. Brzeżany

Jest rzeczą oczywistą, że cyfra posiadanych zabitych, obrączkowanych okazów jest dotąd zbyt skromną, by móc jakiekolwiek dalej idące wnioski stąd wyprowadzić. Niewątpliwie jednak gawron białkowiecki, przynajmniej w tych latach, był ptakiem par excellence wędrownym i to zdecydowanie w kierunku południowo-zachod-

nim. Jak można się przekonać przyjrzawszy się tabelce, „ciąg" gawronów białkowieckich posuwał się najpierw dosyć raptownie na południe, osiągając północne prowincje słonecznej Italji, poczem skierowywał się wybitnie na Zachód, prawdopodobnie omijając niewygodny dla przelotu łańcuch alpejski, by przez środkową Francję podążyć aż hen do Bretanji, niemal nad wybrzeże Atlantyku. Brak jeszcze danych, czy zjawisko, tego szereg setek kilometrów liczącego ciągu ma charakter masowy, oraz trudno przewidzieć, czy gawrony białkowieckie na rok przyszły powracają z powrotem do swojej małopolskiej ojczyzny.

Może jeszcze ciekawsze są wyniki osiągnięte przez zaobrączkowanie pustułek. Jak wynika z tabeli, pierwszy z zabitych, zaobrączkowanych ptaków w rok prawie po zaobrączkowaniu znajdował się w porze lęgu o 50 km na południe, gdzie zatem prawdopodobnie się osiedlił. Drugi w 2-im roku swojego życia, zawędrował na zimę daleko na południe, aż na wyspę Korfu, wreszcie, co może najciekawsze, ostatni z tych ptaków, mniej więcej o tej samej porze roku został napotkany bardzo niedaleko od miejsca swojego urodzenia, bo w powiecie brzeżańskim. Ostatnie dwa przypadki wykazują, dosyć wyraźnie, że ptaki bodaj z tego samego gniazda, a w każdym razie z tego samego ogrodu i roku, mogą pod względem swojej chęci do wędrówek, zachować się tak bardzo różnie.

Trudno coś więcej powiedzieć na podstawie tak nielicznego, jeszcze w Polsce dotąd wogóle nieogłoszonego materjału. Już jednak z tych paru przykładów widzimy, do jak ciekawych wniosków mogą nawet dosyć okolicznościowe obserwacje prowadzić, ile jeszcze w Polsce jest pod tym względem do zrobienia, jak wreszcie nawet czysto okolicznościowe prace naszej stacji badania wędrówek ptaków mogą w jej badaniach dopomóc.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.

SŁOŃ AFRYKAŃSKI

(Ciąg dalszy)

Tymczasem biały myśliwy ma tę ambicję, że triumfem ubicia, nawet najgroźniejszego zwierza — nie chce się z nikim dzielić. W najgorszych okolicznościach nie szuka pomocy ze strony równych sobie, tem mniej ze strony czarnych. Zresztą ci ostatni, jako strzelcy — to żadna pomoc. Może ona zawieść zawsze i wszędzie. Najpewniej zaś w otwartem polu, gdzie murzyn jest nie do użycia.

To samo można powiedzieć o „przybocznym" chłopaku, noszącym drugą broń.

Ten sam, który nieraz wśród najbardziej zdradliwych zarośli — dotrzymywał białemu kroku w czasie tropienia groźnego zwierza, ten sam — na otwartem miejscu, nie da się skusić do podejścia tak blisko, jakby sobie tego jego pan życzył — ociąga się, pozostaje w tyle, a w chwili, gdy zwierz zaatakował — już go niema w pobliżu. Zmyka co sił, aby znaleźć się jak najdalej od zagrożonego miejsca, pozostawiając białego człowieka samego.

Umykałby nawet wtedy, gdyby posiadał własną broń i mógł z niej zrobić użytek, co najwięcej — strzeliwszy na chybił — trafił poza siebie.

Cóż dopiero — gdy ma sobie powierzoną drugą broń do zmiany, której nie śmie użyć?!... Wtedy — za pierwszym ruchem szarżującego zwierza — znika w mgnieniu oka, jak kamfora — oczywiście z bronią.

Mając to na uwadze — nigdy nie liczyłem na pomoc moich ludzi w decydującej chwili. Nie było do pomyślenia, abym dostał od najlepszego z chłopaków drugą broń do ręki — wtedy, kiedy każda sekunda może decydować o życiu lub śmierci.

Moja 8-ka, z której doniedawna tak byłem dumny, uważając tę broń jako najodpowiedniejszą na słonie (jak na owe czasy)*), straciła teraz dużo na swej wartości. Przynajmniej w moich oczach. Dostrzegłem w niej jedyną wadę, ale zasadniczą — to, że nie miała drugiej lufy. Brak drugiego strzału w chwili grożącego niebezpieczeństwa — to nie byleco. Niemożność repliki na szarżę rannego zwierza, a przedewszystkiem takiego olbrzyma, jak słoń — i to w momencie, kiedy już przed jego wzrokiem ukryć się nie można, a na przeładowanie broni czasu niema — dyskwalifikowała tę broń dostatecznie, aby się czuć niepewnym wobec tego potentata w otwartem polu.

Ten zapasowy, drugi strzał — to asekuracja własnej osoby — mówili ci z pośród myśliwych Europejczyków, którzy już posiadali broń dwulufową, grubszych kalibrów. Twierdzili też kategorycznie, że w razie szarży słonia na oko, gdy tylko atakowany nie stracił przytomności i rozjuszonemu słoniowi gdziekolwiekbądź w głowę kulę wpakował — z reguły go zawracał. Najefektowniejszym zaś tego rodzaju strzałem — był strzał „w nos" — czyli w nasadę trąby, jako najbardziej czułe jego miejsce.

Przychodziłem powoli do przekonania, że bez odpowiedniej broni dwustrzałowej — nie mam co robić na spalonym stepie, gdzie każde spotkanie ze słoniem — kryje w sobie największe niebezpieczeństwo.

A więc nie zaglądnę tam więcej — myślałem — uniknę pokusy!...

I powróciłem też zaraz na dawne obozowisko nad strumieniem Mona, na podgórze, stąd bowiem mogłem robić wycieczki w głąb gór, przeważnie dobrze zalesionych. —

Tylko, że na tym terenie trzeba było zrezygnować z łowów „na wypatrzonego", a powrócić do żmudnego tropienia, w czem dotychczas zupełnie mi się nie szczęściło.

Zaczęły się znowu dla mnie ciężkie dni — w ciągłym pośpiechu, a bez rezultatu. Zdawało się, że w ten sposób polując, chyba nigdy ze słoniami się nie zetknę.

*) Najgrubszy kaliber, jakie dla broni dwulufowej wówczas stosowano — był kaliber Nr. 10.

Znalazły się tropy, w kilku wypadkach nawet dość świeże — słonie więc po górach się kręciły — ale mimo, że z uporem maniaków po tropach goniliśmy, niestrudzeni ci wędrowcy ani razu nie dali się zaskoczyć.

Utrudzony do ostateczności, zнędzniały i chudy jak chart, na szczęście jednak zdrów, przeklinałem już te łowy, słonie i Afrykę w głębi duszy.

Kto w klimacie tutejszym nie przeszedł sam, tak jak ja, tej szkoły gonienia po tropie, za tubylcem, co porusza się jak antylopa, nie może sobie wyobrazić, ile potrzeba sił i zaparcia się siebie, aby nie zrezygnować z takich łowów raz na zawsze.

A słonie — jakby nas chciały doświadczyć — wspinały się często na najwyższe w tej części gór grzbiety, dochodzące do 1000 metrów n. p. m.

Zniechęcony — wracając do obozu — mówiłem sobie: już raz ostatni w górach!...

Byłem nawet skłonny zaniechać na razie wszelkiego polowania. Potrzebowałem dłuższego wypoczynku. Trapiła mię jeszcze inna myśl. Należało już ostatecznie odwiedzić królika Malauri'ego, w którego kraju polowałem, a który przyrzeczonego mu podarunku — dotychczas nie otrzymał. Polowałem — ale jakby się wyrazić w naszem zrozumieniu — za prawo polowania nie zapłaciłem. W owych czasach, niebezpiecznie było lekceważyć sobie takich czarnych władców.

Ale żal mi było z tych okolic się wynosić, gdzie przecież jakieś słonie się kręciły. Odkładałem mój wymarsz z dnia na dzień.

I oto jednego dnia rumor we wsi. Już raniuteńko gromada wsiowych nagusów zjawiła się przed moją chatą.

Krzyk i lament...

Po długich gadaniach z moimi ludźmi — dowiaduję się, że ostatniej nocy słonie splondrowały im „winnicę". — Gaj palmowy, gdzie zbierano to wino.

— Muzungu!... wino wypily... garnki potłukly... wołali — jeden przez drugiego.

Wyglądało to tak, jakbym ja był temu winien.

— Poszły w step!...

— Niechaj sobie idą — myślałem — ja za niemi nie pójdę... i aby pozbyć się rozkrzyczanej hołoty, kazałem memu kapitanowi, aby rozdzielił pomiędzy poszkodowanych kilka sznurów paciorków — na pocieszenie.

Ba! — ale oni — dostawszy już trochę, chcieli więcej, uważając, że rekompensata za wypite wino i garnki potłuczone — była zamałą.

Więc natarczywie się domagali: idź zobacz na miejscu Uległem wkońcu temu wezwaniu i więcej z ciekawości, aniżeli z obowiązku — poszedłem oglądnąć szkodę.

Ślady zniszczenia były niezaprzeczalne.

Kilkumorgowa przestrzeń, gdzie winonośne palmy rosły — była ohydnie stratowana. Krzaczki i inna mniejsza roślinność, wyrwane z korzeniami i rozrzucone na wszystkie strony — a dookoła pni drzew eksploatowanych, (odznaczających się od reszty palm, brakiem korony) — czerepy garnków glinianych i resztki nakrywek słomianych — stopami słoni w ziemię wtłuczone. Słonie przeszukały „winnicę" dokładnie. Na kilkunastu pniach były zawieszone naczynia, do których gromadził się sok. Z tych tylko jedno drzewo było częściowo tylko naruszone, garnek bowiem ocalał. Wisiał za wysoko. Słoń — mimo prób — na co wskazywały ślady, nie potrafił go ściągnąć. Przechylił go jednak dostatecznie, aby zawartość na ziemię wylać. W tej pozycji znaleźli go do dnia właściciele „winnicy".

Przy tej sposobności dowiedziałem się od nich, że słoń, aby dosięgnąć wysoko rosnące owoce — bardzo często podnosi się na tylnych nogach i obłamuje w ten sposób grube konary, obciążone owocami.

Zrozumiałem teraz, że ta robota słoni — nie była ani przypadkowa, ani dorywcza. Czy jednak celowo do tej „winnicy" przywędrowały — rozstrzygnąćbym nie potrafił.

Natomiast czarni są przekonani, że słonie, którym świeży sok palmowy bezwątpienia może smakować, specjalnie za sfermentowanym sokiem szukają, a więc za napojem już upijającym, bo lubią sobie podpić — tak jak ludzie.

Dotychczas tylko o małpach tego rodzaju historje mi opowiadano.

Badając tropy nocnych gości przy pomocy tropiciela, tym razem — Namondiego, przyszedłem do przekonania, że wszystkie sztuki należały do tej kategorji młodych samców, z jakiemi dotychczas w tych stronach zetknęliśmy się — a więc nic nadzwyczajnego.

Jak mi wyjaśniał ten stary wyga — słonie opuściły „winnicę" o dobrych kilka chwil (godzin) przed naszem nadejściem i poszły w step. Pościg zatem prawie beznadziejny.

— Jeśliby tu były gdzie w pobliżu — to na bagnach, do których z tej strony nie ma dostępu; jeśli zaś skierowały się na step wypalony — to już nie zatrzymają się aż w lasach „mawumu" po północnej stronie stepu, albo na wyspach Sziry...

Wobec tego nie pozostawało nic innego, jak wracać do wsi. — Ale być w pobliżu stepu, a nie rzucić nań wzrokiem — choćby bez żadnego określonego zamiaru — to było już ponad moją wstrzemięźliwość.

Dostawszy się na kraj lasu — szukałem za jakiem wzniesieniem, aby z pewnej wysokości spojrzeć w dal. Tu bowiem strumień Mona, rozlewał się szeroko, tworząc małe stawki i jeziorka, a gonne trzciny przybrzeżne zasłaniały widok.

Niestety w pobliżu nie było ani kopców termitów, ani większego drzewa, aby się nań wdrapać.

Usłużny jednak Namondi przyszedł z pomocą. Zgiąwszy się, zaprasza na „konia". Gdym znalazł się na jego barkach — podnosi mie w górę.

...Słonie w tej chwili przeprawiają się przez bagno!... pod moim nosem...

Są już w wodzie... słyszę plusk wody. — Zanurzają się coraz bardziej w jakąś głębinę — po brzuchy — po karki i — znikają z oczu za ścianą trzcin.

Ale oto — są znowu!

Gramolą się powoli przez grząskie rozlewisko. Stanąwszy na trwalszym gruncie — skierowują się na nagi step.

Idą z wiatrem...

Idą gęsiego — więc ich liczę: siedem sztuk — wszystkie prawie tej samej statuy — wszystkie: samce o jednakowej długości kłach!

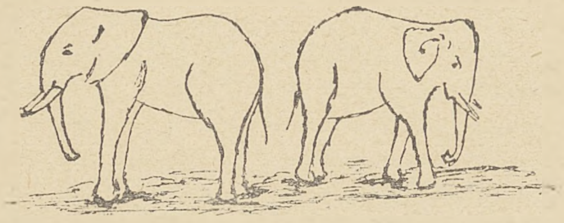
— Czyby to były te same słonie, co splondrowały „winnicę"?...

— Prawdopodobnie...

Jeszcze jakiś czas wzrok mój śledził pochód tych olbrzymów — co zdala przypominało posuwanie się pociągu kolei żelaznej o kilku wagonach. Kierowały się rzeczywiście ku północy.

Namondi miał rację...

(Ciąg dalszy nastąpi).



C. C. G.

Z Perehińska

Dawno pióra nie brałem do ręki dla „Łowca" naszego. Sam nie wiem dlaczego. Brało się pióro dla akceptowania czy żyrowania weksli. Gdy to na szczęście ustało, zostały listy do wierzycieli i ich adwokatów, podania do banków i władz wszelkich, wyjaśnienia, odwołania, skargi, odpowiedzi na nie, zarzuty i cała falanga różnych innych przyjemności, które pisać zapomnieć nie dają, lecz pisać zupełnie innemi kategorjami myśli i wyrazów, jakichby mnie podobny „dziki człowiek" rad jedynie używać. — Dzisiaj mnie jednak coś tknęło. Czy wiatru powiew gór tchnienie przez serce ku myśli skierował? Czy św. Hubert, patron nasz łaskawy, w dniu swego imienia tak rzewne wywołał wspomnienia? Czy wreszcie „Łowiec" ostatni, Mniszka i Potockiego ustępami, wyrzutem do mnie przemówił, że i odemnie coś mu się należy?

Wieczór cichy, długi a tęskny... jaki tylko na wsi w tej roku porze być może... Biorę pióro, wspominam i myśli rzucam na papier.

Tak w tym roku użyłem na górach, jako nigdy jeszcze! Bo cztery tam całe przeżyłem tygodnie! Więcej czegoś szukałem niźli rykowiska! Ja „dziki człowiek", tęskniłem do dziczy..., do samotności, wśród górskiej przyrody, do życia zdala od trosk i kłopotów, do odetchnięcia dla swego jestestwa przy pełnym, zdrowym, wypoczynku nerwów, przy innej zgoła niż na świecie myśli! Do gór tęskniłem w błękicie tonących, do mgieł co dołem w potokach się snują... do mroków świątyń, pod świerków sklepieniem, do słońca blasków tam wśród skał, połonin..., potoki usłyszałem jedenastego popołudniu, a od czternastego wzniosłe szczyty! A w pośród tego marzenie szukało... a w pośród tego ucho me łowiło, tę pieśń czarowną, ...pieśń nad pieśniami...

Już szóstego września znalazłem się w mojej kolebie, a raczej dworku cedrowym, jak go wszyscy w Perehińsku nazywają, nad potokiem Pietros. Pierwszego jelenia usłyszałem jedenastego popołudniu, a od czternastego ryczały już dobrze po wszystkich górach. Ilem widział w tym czasokresie, trudno wyrazić — na strzał miałem: 2 szesnastaki, 2 czternastaki, 2 dwunastaki, 4 dziesiątaki, prócz mniejszych wielu i to niektóre z nich po kilka razy. Zasadą mi było, to co Mniszek pisze: szukać kapitalnego w ostatniem stadjum swego rozwoju, bezwzględnie nie strzelić do tego, co jeszcze lepszym być może, a ewentualnie odstrzelić to, co rasę psuje. Kapitalnego widziałem, widziałem parę razy, lecz zawsze na nieprawdopodobne odległości, z góry na górę. Znam go od lat pięciu w tym rewirze, ośmnastak, o fenomenalnie rozłożonym i dziwnej harmonji wieńcu, a koronach jak kandelabry — niestety w tym roku, z powodu niebywałego upału, trzymał się stale pod szczytem, na łopatczynach tak okolonych kosówką i grechotami, że podsunąć się daremnem byłoby marzeniem.

Nie strzelałem do wielu, nawet bardzo dobrych, a wywiozłem dwa wieńce: ósmaka, który absolutnie wiekiem nie odpowiadał rozwojowi wieńca i którego z rewiru usunąć należało, oraz bardzo, bardzo starego wstecznika szydlarza — trofeum niestety niekapitalne, nie porywające oczu i duszy łowieckiej, jak to niejeden wieniec karpacki czyni, lecz zdobycz rzadka i rzetelną myśliwską pracą i kombinacją zdobyta, gdyż jelenia tego widziałem raz przez dzień cały z góry na górę, a w parę dni później doszedłem do strzału, dzięki pracy podchodów i myśli.

O pogodzie pisać dłużej nie będę — cudna, niezmienna, pełna słońca blasków, ciepłoty powietrza. Aż dziwne, że przy tych upałach rykowisko dobrem było. Może nie zawsze ryczały jelenie równie intensywnie — może nieraz się niecierpliwiłem, czekając długie upalne godziny dnia i nie słysząc głosu, lub jeleni szukając bądź to w cienistych gąszczach na dnie potoków, bądź też w chłodzie nieprzebytej kosówki — na ogół jednak rykowisko prawie przez cały czas w pełnej sile natężenia określić można. I parę mam tu do rzucenia obserwacyj. Przed rozpoczęciem okresu rykowiska, t. j. od chwili przyjazdu, gdzieś do około 15-go, widziałem mnóstwo łań — chodziły wprost stadami — widziało się przez dzień cały, najwięcej naturalnie rankiem i wieczorem po kilka, aż do dziewięciu sztuk razem — pasły się spokojnie po zrębach, szczawach i łopatach — pasły się spokojnie, a towarzyszyły im nieraz młodsze byki, również spokojne i nie zdradzające objawów rykowiskowych. Nieco później zaczęły się łanie pojedyńczo „zrywać" (może nietrafnie słowa tego używać, lecz biorę go z mowy ludu, a proszę o lepszy wyraz na „brunften"), opuszczały swe towarzystwa, nieraz i swe cielaki, a na terenie ukazały się starsze jelenie, z początku niewidzialne — młodsze odbiły się od stad, chodziły same, lecz dobrze ryczeć zaczęły aż w połowie okresu. Im bliżej końca, tem się mniej łań widziało, przy samym zaś końcu gdzieś się tak pozaszywały, że tylko gdzieniegdzie pojedyńczą łanię się widziało, przy niej starszego byka a kilka młodszych łażących i ryczących bezustannie przez cały dzień naokoło. Oto w kilku słowach przebieg cały.

Jaka konkluzja praktyczna? Niema teorji co do spotkania kapitalnego byka! Tylko łaska św. Huberta! Raczej jednak wbrew przyjętemu przekonaniu, przychylałbym się do twierdzenia, że lepiej później, gdyż stare byki może i wcześniej zaczynają się odzywać, lecz początkowo odzywają się w miejscach trudnych i czekają na popęd płciowy u łań — później uprowadzają pojedyńcze łanie

w swe kryjówki i aż pod koniec zdradzają większe ożywienie, w miarę, gdy zrywanie się łań staje się powszechne.

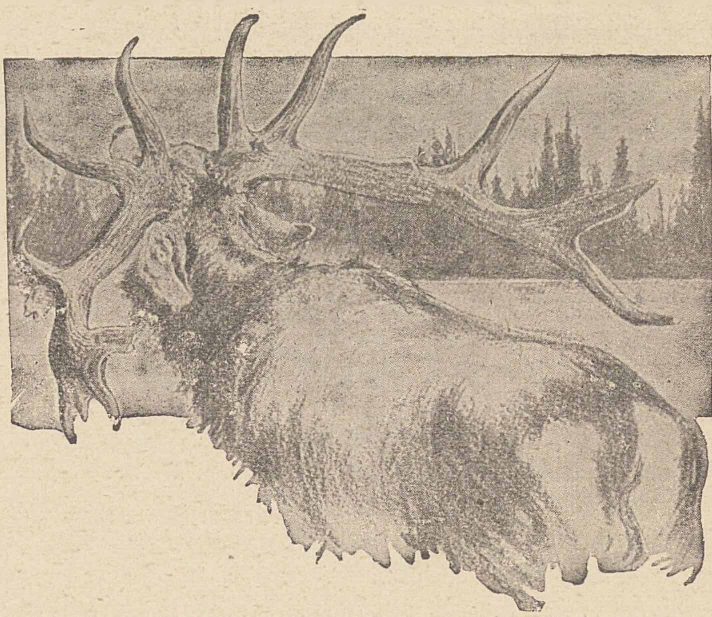
Przeżyłem tak cudne dnie i epizody, że tom cały mógłbym opisem wypełnić. Jeden może tu rzucę. — Było to 18-go września — wcześnie rano, gdy dzień już mroki rozsunął, siadłem pod starym smerekiem, po jednej stronie swej bór stary mając a rzadki, po drugiej obszerną szczawów halawę z kupałem na środku i stromą ścianą karłowatej olchy. Celem mym była obserwacja ściany, kupała, halawy, gdyż tu w tych stronach, jakiś byk się trzymał, z którym się chciałem dokładnie zapoznać. Nie długo siedziałem, gdy słyszę miękkie opodal człapanie, od czasu do czasu przerwane suchym grzechotem kamyka. Zwrot oczu... i widzę dużego niedźwiedzia, jak wolno ku mnie się zbliża; duży, czarny, wysoki na nogach! — Szedł wolno i wciąż się zbliżał — a żem z daleka go dojrzał, patrzyłem nań parę minut, nim doszedł na siedm kroków. I już się siebie pytałem, co będzie, gdy dojdzie bliżej! Na siedem kroków przystanął, popatrzył na mnie i śmieszną bardzo, zdziwioną okazał mi minę... i w kilku susach cichych, a lekkich, z oczu mi się ulotnił. Czyż w życiu piękniejszy moment być może? Starczy na rykowisko całe! I nie żałuję, żem się do strzału nie skusił.

Nie koniec tego dnia szczęścia! Godzinę, dwie później, mruknięcie na lewo, trzaśnięcie gałązki i na halawę w pełnym blasku słońca wychodzi jeleń. Bardzo mu gorąco! Nad brzeg kupała podchodzi i najpierw z niego długo wodę pije — potem zaś cały rozkosznej kąpieli zażywa — na bok się kładzie i tarza... wstaje i wodę ...by pies, z kąpieli silnie z siebie strząsa — na bok się drugi znów kładzie i z cicha z rozkoszy aż mruczy — wreszcie na grzbiecie się tarza, jak koń na bujnem pastwisku i badylami czterema powietrze w górze uderza. Trwało to pięć minut, dziesięć, może kwadrans cały! Wstał wreszcie z wody zupełnie, resztki wody strząsnął, podszedł pod krzak kosówki i długo, długo siłę wieńca swego o pień żywiczny przemierzał. Może znów kwadrans tak minął. Wreszcie znów do mnie się zwrócił i całą halawę, w dziwnym jakimś tańcu wesołych podskoków przemierzył, prychając raz wraz radośnie — przyczem mnie minął na kroków trzydzieści i wolno znikł wśród kosówki. Jeleń pokaźny, gruby, cofnięty dziesiątak — lecz jakże go życia pozbawiać, skoro mi tyle dał przeżyć radości? Niech żyje, a na rok przyszły, może się znowu spotkamy!

I jeszcze jeden epizod, ale już ostatni, gdyż chociaż takich miałem dużo więcej, boję się bardzo Was znudzić. 25-go września, pełnia rykowiska. Po dosyć męczącym dniu i różnych podchodach, stojąc wieczorem na szczycie Pietrosa, miałem pod sobą trzy do czterech ryczących jeleni. Jeden z nich specjalnie mnie interesował i miarkowałem po rodzaju ryku, że łanie pasąc się, ciągną wolno w górę, a on ryczący za niemi. Terenem kosówka, przeplatana łopatami ze soczystą paszą — niżej zwór. Odpowiednio się podsunąłem, co wśród kosówki nie zbyt łatwo było i już po chwili miałem cztery łanie o kilkadziesiąt kroków od siebie, poniżej za załomem znowu byk się odzywał. Łanie pasły się spokojnie, wciąż ku szczytowi wolno się podsuwając. Po chwili i on się ukazał, pyszny szesnastak, trochę może o małem rozpięciu wieńca, lecz za to wybitnej, podwójnej koronie — szedł za łaniami; pasł się, to stał spokojnie, czegoś zadumany — a raz wraz donośny poryk w przestrzeń ciskał. Już broń podniosłem... już palec na cynglu..., ale po chwili... broń na kolana wróciła... Siedziałem dalej spokojnie, w gęstwę kosówki wciśnięty. — Za cudny obrazek, aby go można brutalnie, huknięciem strzału zniweczyć! Ten mrok co zwolna od dołu wierzchołek góry osnuwał, szczyty tonące w błękicie... przestrzeń bezmierna kosówki, co do stóp moich się ściele..., bujnej paszy gęsto przetkana plamami... tych gór woń balsamiczna, co w boskiej rozkoszy ludzkie serce koi... ta cisza ciepłego wieczoru!... A blisko... tak blisko, ta czwórka łań, by leśne boginie... i on! Najpiękniejszy pomiędzy! Nie, na strzał... nie mam siły!

Siedziałem w kosówkę wciśnięty, a w duszy... w raj łowca żywcem przeniesion. — Muszlę wziąłem do ręki, rzuciłem wezwanie. — On do mnie wprost się odwrócił i dojrzeć się starał, który to z rywali tak blisko doń się podsuwa. Niczego nie dojrzał, więc zaczął ku mnie wolno się podsuwać... i raz wraz ryczał! Jeszcze parę razy do niego się odezwałem, wciąż go czem bliżej ściągając... wciąż lepiej widząc — odległość wreszcie nie dalej niż kroków dwadzieścia! I tak doczekałem do nocy!...

Powoli wracałem do chaty, raj łowca w duszy unosząc... Oczywiście i prozy słowa dodać muszę, że jeleń szesnastak, był pełen przyszłości, wieniec nie więcej mógł ważyć niż 6—7 kilogramów. — Wolę za rok, czy dwa może, powtórnie jego napotkać. — Tymczasem niech się rozmnaża i niechaj życiem się cieszy!



ADAM STADNICKI

Z rykowiska

W lasach dóbr Rytro-Nawojowa, po obu brzegach przełomu Popradu, w powiecie Nowosądeckim położonych, jelenie ryczą od lat kilkunastu. — Radowałem się tem, wsłuchiwałem się niekiedy w ich pieśń, jednak po trofea nie sięgałem, kontentując się rosnącą z roku na rok kolekcją zrzutów, wśród których niektóre, świadczyły o istnieniu kilku dobrych byków.

W roku bieżącym zaczęły jelenie ryczeć już 11 września; od 12 września rozpocząłem podchody i obserwo-

wanie zwierzyny, gdy przekonałem się, że na mojem terytorjum ryczy około 10 byków, westchnąłem do Św. Huberta o spotkanie z jednym z kapitalnych, znanych mi ze zrzutów. — Dotychczas marzyłem tylko o widzeniu go, gdyż postanowiłem był przed laty sięgnąć po złomek dopiero, gdy 10 jeleni u mnie ryczeć będzie. Widocznie wypełniły się tego roku czasy i w dniu 20 września, po długich i mozolnych podchodach, dał mi Św. Hubert spotkanie z upragnionym bykiem.



Długość rogów mierzona po cięciwie wynosi: 95 i 96 cm, grubość (obwód) pni nad nadoczną odnogą: 17 i 17,5 cm, grubość (obwód) pni pod koroną po 15 cm w najwęższych miejscach; rozpiętość największa w koronie 117 cm, szerokość zewnętrzna rozstawienia róż 19,5 cm. — Ogółem więc pktów 1147. Waga czaszki po wygotowaniu 9,30 kg.

Na załamanym niedostępnym zrębie, zajęty widocznie bardzo jedną z trzech łań jego harem stanowiących — zapóźnił się ten jeleń dnia tego z powrotem w bezpieczne a niedostępne gąszcze, w których zwykle z cicha basem pomrukiwał — tak, iż słońce wysoko stojące, jeszcze go tam zastało. — To umożliwiło mi dostanie się po mozolnym podchodzie przeciwległym stokiem na miejsce, skąd dostrzegłem nad młodnikami bukowemi jakieś do konarów suchych podobne kształty. Były to korony wieńców. Poznałem, że to on, upragniony jeleń. Po długich chwilach oczekiwania, wyszedł nareszcie z ukrycia, a kula komorowa z Schönauera, zwaliła tego króla naszych gór, który dał mi wspaniały wieniec ośmnastaka, wagi 9,30 kg.

Tak padł pierwszy jeleń na rykowisku w lasach Ryterskich.

KAZIMIERZ WYSOCKI

Bocian biały

(Ciconia - ciconia)

W „Łowcu" z daty Lwów 1 sierpnia 1934 r. Nr. 15-16, w dziale Notatki bibljograficzne, powtórzył pan W. Z. w swem sprawozdaniu o artykule pana Dra Kazimierza hr. Wodzickiego „Rozmieszczenie i ochrona bociana białego w Województwie krakowskiem" ustęp wyjęty z tego artykułu, który brzmi:

„Zaznaczyć należy, że w przeważnej ilości wypadków, tępi bociany nie ludność wiejska, lecz właściciele większych gospodarstw rolnych i stawowych, a więc przeważnie ludzie o akademickiem wykształceniu".

Powiedzenie to jest słuszne. Włościanie nie tępią bocianów, bo włościanie, prawie bez wyjątku nie są hodowcami zwierzyny i sprawa jej tępienia jest dla włościan, zupełnie obojętną.

Natomiast nie można tak bezkrytycznie przejść do porządku dziennego nad faktem, że tępiącymi bociana, są właśnie ludzie z akademickiem wykształceniem, a więc ludzie inteligentni, którzy nie zwykli iść bezmyślnie za głoszonemi hasłami, lecz którzy zastanawiają się nad każdą sprawą i na podstawie własnych przeżyć, na podstawie własnych spostrzeżeń i własnego doświadczenia, poddają je własnej krytyce.

Wielka szkoda, że ci tępiący bociany, mający akademickie wykształcenie, nie podają do wiadomości ogółu myśliwych, swoich uwag i spostrzeżeń, opartych na niezbicie stwierdzonych faktach, dotyczących bociana i innych zwierząt łowieckich. Ten wstręt do pisania, jest niestety właściwością przeważnej części myśliwych.

W Polsce mamy kilka łowieckich czasopism.

Przeglądnijmy te czasopisma, a stwierdzimy, że z rzeszy myśliwych liczącej zgórą sto tysięcy jednostek, spotykamy tylko ciągle powtarzające się te same nazwiska kilkunastu, którzy dzielą się z myśliwymi swemi spostrzeżeniami, dotyczącemi łowiectwa — swemi zapatrywaniami.

A źle robią ci, którzy milczą — bo brak tych spostrzeżeń jest częstokroć powodem, że obraz użyteczności, względnie szkodliwości dla łowiectwa niektórych gatunków zwierzyny — nie jest jasny — nie jest wszechstronnie oświetlony.

Toż i co do bociana, mam bardzo poważne wątpliwości, czy żądanie jego ochrony nie jest przedwczesne — czy żądanie to opiera się na wszechstronnem zbadaniu sposobów jego życia — i czy nie należałoby sprawę tę poddać pewnemu zbadaniu.

Tę moją wątpliwość opieram na faktach — stwierdzonych przezemnie w sposób niewątpliwy.

Mieszkam w okolicy, opisanej niegdyś przez ś. p. Aleksandra Ubysza. Dawniej istniejące tu bagna Błotni i nadsołokijskie błota, były ziemią obiecaną dla bocianów. Było ich tu liczne — bardzo liczne setki, toż miałem przez szereg dziesiątek lat, bardzo wiele sposobności do badania sposobów i zwyczajów życia bocianów.

Jako myśliwy, dziś już jeden z najstarszych, miałem zawsze otwarte oczy na zwyczaje i sposób życia zwie-

rzyny żyjącej w mojem otoczeniu. Niewątpliwie stwierdzone przezemnie fakta, dotyczące sposobu życia bociana, każą mi uważać, zgodnie z przekonaniem znakomitego myśliwego hrabiego Silva-Tarouca, autora dzieła „Kein Heger, kein Jäger", bociana za wielkiego szkodnika, za niszczyciela łownej zwierzyny. Bocian niszczy jaja w gniazdach bażantów, kuropatw, przepiórek i innego łownego ptactwa, pożera pisklęta i młode zajączki, co potwierdzą niżej podane spostrzeżenia.

Wśród ulegającej zalewom kilkumorgowej łąki, położonej w Ostobużu nad Sołokiją, jest około dwumorgowy pagórek, który nie podlega zalewom.

Solokija często wylewa. Toż i kilkadziesiąt lat temu wylała w drugiej połowie czerwca.

Wówczas wsiadłem do czółna, aby sprawdzić stopień wylewu.

Przepływając w niedalekiej odległości od tego pagórka, stwierdziłem, że cały pagórek roi się formalnie od bocianów, które postępowały zwartym szeregiem, zanurzały ciągle swe dzióby w trawie, a następnie zdawało mi się, że coś połykały.

Chcąc zbadać, co się na tym pagórku dzieje, poszedłem tam i stwierdziłem, że uciekając przed wylewem, schroniło się tam wszelkie ptactwo jeszcze nie wyrośnięte, a to młode dubelty, kszyki, chruściele, kurki wodne, wogóle wszelkie ptactwo, jeszcze bardzo mało lub wcale nie umiejące latać. Te ptaszęta, stały się łupem żarłoczności bocianów, które je bez miłosierdzia pożerały. Tam zrobiłem pierwszą dubletę do bocianów.

W pewnym roku, w kilkunastomorgowym łanie koniczyny — było trzy gniazda kuropatw, już zasiedziane. Stwierdziłem osobiście przy pomocy legawca, istnienie tych gniazd i przed pierwszą kośbą koniczyny, zaznaczyłem je.

Przy koszeniu, kazałem zostawić przy każdem gnieździe, dla jego ochrony, po kilkanaście metrów kwadratowych, niekoszonej koniczyny.

Przez kilka dni siedziały kuropatwy na jajach, aż pewnego dnia doniósł mi dozorca polowania, że w jednem gnieździe są skorupy z jaj — a jaja widocznie zostały pobite.

Poszedłem sam rzecz tę zbadać.

Gdy byłem o kilkadziesiąt kroków od tego łanu, zobaczyłem bociana, żerującego właśnie w jednem z tych nieskoszonych kilkunastu metrach koniczyny, gdzie znajdowało się również gniazdo kuropatwy. Gdym się zbliżył na kilkanaście kroków od gniazda, zerwał się i odleciał bocian z miejsca gdzie było gniazdo, a ja zobaczyłem kilkanaście świeżo rozbitych jaj. W jednem nierozbitem jaju była już do wylęgu prawie gotowa kuropatwa. — W ciągu żniwa znaleziono kilka gniazd bażancich i kuropatwich, które uległy zniszczeniu — czego sprawcami były niezawodnie bociany.

W celu uchronienia trzeciego gniazda w tej koniczynie, w której bocian już dwa zniszczył, kazałem dozorcy polowania zastrzelić bociana, gdy przyleci po to trzecie gniazdo. — Bocian rzeczywiście przyleciał i został zastrzelony.

Niejednokrotnie widziałem bociany polujące na małe zajączki. Widziałem bociany lecące i niosące w dziobie dość duże przedmioty. Raz zastrzeliłem takiego bociana i stwierdziłem, że ów niesiony w dzióbie przedmiot, to był mały, kilkudniowy zajączek.

Bociany pozwalają wróblom gnieździć się w swych gniazdach. — Gościnność ich jednak trwa tylko do chwili, gdy z jajek wylęgną się małe wróblęta, które bocian swym dziobem, jak szpikulcem wybiera i pożera co do jednego.

Wyżej naprowadzone — niejednokrotnie stwierdzone fakta — to nie są rzeczy, o których mi opowiadano — to nie żadna bajka — nie żaden przesąd, to rzeczywistość stwierdzona mojemi własnemi oczyma — to niezawodna prawda.

Pomylić się, jest rzeczą ludzką. Toż i tak znakomity ornitolog jak ś. p. Kazimierz hr. Wodzicki — mógł się co do nieszkodliwości bociana dla gospodarki łowieckiej, tak samo pomylić — jak pomylił się w sprawie dotyczącej rui sarn, — jak pomylił się światowej sławy przyrodnik Brehm, w swem twierdzeniu, że niedźwiedź nie narusza ciał nieboszczyków.

Obawa przed zanikiem bociana jest i jeszcze przez czas bardzo długi będzie, płonną.

Już to wogóle zauważyć muszę, że na rachunek rzekomej potrzeby chronienia jakiegoś gatunku przed — nie w rzeczywistości — lecz tylko w fantazji istniejącą zagładą — stawia się żądania ustanawiania ochrony tam, gdzie tej ochrony całkiem nie potrzeba, gdzie taka ochrona, zwłaszcza w nizinnej gospodarce łowieckiej, której podstawą jest hodowla sarn, zajęcy, kuropatw i bażantów jest wręcz szkodliwą dla zwierzostanów.

Wszak ryś, ten najstraszniejszy niszczyciel zwierzostanów cieszy się ochroną przez 11 miesięcy, bo strzelać go wolno tylko od 16 grudnia do 15 stycznia.

Rzekomo nieznaczną szkodliwość rysia dla zwierzostanów, charakteryzuje dosadnie sprawozdanie pana delegata Edmunda Stawowczyka („Łowiec" Nr. 2—3 z roku 1934), donoszące o zastrzeleniu w lasach S. A. Oikos w powiecie radziechowskim, w rewirze Berbeki, rysia, który w czasie jednego miesiąca, nie licząc zajęcy i cietrzewi, zdążył zabić dwadzieścia sarn.

Pan Stawowczyk zastrzelił tego rysia dnia 13 stycznia. Gdyby spotkanie z rysiem nastąpiło o 3 dni później, a więc 16 stycznia, już w czasie ochrony rysia — to pan delegat Stawowczyk mógłby był tylko ukłonić się rysiowi — i prosić go uprzejmie, aby przez przysługujących mu 11 miesięcy czasu ochronnego, raczył pozostawić w kniei, której zwierzostan doprowadzony został usilną, kilkuletnią pracą i nakładem znacznych kosztów do stanu kwitnącego, choćby po jednej parze zwierzyny dla celów rozpłodowych. Zastrzelić go, a więc użyć jedynego obronnego środka — nie byłoby mu wolno.

Ogromna szkoda, jaką ten ryś wyrządził na terenie łowieckim, oddalonym o przeszło 100 kilometrów od Karpat, jest niezbitym dowodem, że nie można oznaczać czasu ochrony dla niektórych gatunków zwierzyny, dla całego obszaru Rzeczypospolitej Polskiej, bez uwzględnienia stosunków terytorjalnych.

Ten czas ochronny, który może byłby wskazany dla łowieckich gospodarstw, prowadzonych na terenie stepów, czy nieużytków naszych wschodnich kresów lub Karpat, może być zabójczym dla nizinnych gospodarstw

łowieckich, prowadzonych na terenach o wysokiej kulturze rolnej.

W tych terenach, wszelka ochrona zwierząt mięsożernych, jest dla nizinnej gospodarki łowieckiej wręcz wysoce szkodliwa.

A przecież są już wnioski o oznaczenie czasu ochronnego nawet dla wilków i jastrzębi gołębiarzy.

Podstawą i koniecznością prawidłowej gospodarki łowieckiej, jest terytorjalna autonomja łowiecka.



LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Niedźwiedzie na Polesiu

Uzupełniając wzmiankę o występowaniu niedźwiedzi na Polesiu, zawartą w formie listu w cennym artykule p. redaktora Alberta Mniszka w Nrze 19—20 „Łowca", pragnę dorzucić obecnie, po zebraniu informacyj, nieco szczegółów w tej sprawie.

Na ziemiach wschodnich, dotąd jeszcze znajdują się niedźwiedzie tylko w powiecie łuninieckim woj. Poleskiego, na terenach prywatnych, należących do spółki eksploatacji lasów p. f. Agahell, dawnych dobrach Agarkowa.

Lasy te, rozprzestrzeniają się w kwadracie, ograniczonym od południa rzeką Prypecią, od wschodu granicą sowiecką, zaś z zachodu i północy dobrami Nieśwież, ks. Radziwiłła i Rzepichowo hr. Potockiego.

Niedźwiedzie, zamieszkujące ten obszar w liczbie 13 do 15 sztuk, są miejscowe, trzymając się dzikich tamtejszych lasów i gęsto zarosłych błot leśnych, rzadko wydalając się poza granice wzmiankowanych posiadłości. Niekiedy jednak pojedyńcze osobniki wędrują po okolicznych kniejach, docierając aż do Deniskowicz. Wędrówki te odbywają się stale w kierunku północno-wschodnim. Na południe od Prypeci, niedźwiedzie nigdy nie zachodzą, a co dziwniejsze, że nawet w latach przedwojennych, gdy stan tej zwierzyny był zadowalający — też się ich nie spotykało, chociaż zamieszkiwały puszcze Nieświeża i Rzepichowa w dość pokaźnej ilości.

Tereny leśne, eksploatowane przez spółkę Agahell, nie są dobrem schronieniem dla resztek polskich niedźwiedzi nizinnych. Gospodarka ludzka w kniei, choćby najbardziej racjonalnie prowadzona, niepokoi tę rzadką i cenną zwierzynę, przyczyniając się do emigrowania poszczególnych sztuk, ginących w czasie swej wędrówki od kul kłusowników i różnych pseudo-myśliwych. Zachodzi zatem konieczna potrzeba przeniesienia przynajmniej części tych niedźwiedzi w jakieś bezpieczne miejsce. Jeżeli więc powstająca obecnie Sekcja Ochrony Niedźwiedzia nosi się z zamiarem osiedlenia niedźwiedzi na Wileńszczyźnie, to przedewszystkiem zwracam Jej uwagę na niedźwiedzie poleskie, które będąc okazami nizinnemi — doskonale zaaklimatyzują się w Puszczy Rudnickiej, najbardziej odpowiadającej celom tej hodowli i z pewnością lepiej się będą mnożyły od górskich, dla których zmiana warunków klimatycznych i terenowych może być szkodliwa, lub nawet zabójcza.

W zakończeniu chciałbym zwrócić uwagę osób, które sprawę przesiedlania niedźwiedzi będą ewentualnie opracowywały, na potrzebę utworzenia w Puszczy Rudnickiej specjalnego rezerwatu, lub chociażby pół-rezerwatu dla tych okazów. W ostatnich bowiem latach Dyrekcja Lasów Państwowych prowadzi w tej Puszczy bardzo intensywną gospodarkę leśną, to też należy zagwarantować niedźwiedziom pewien obszar, na którymby mogły mieć minimum spokoju i bezpieczeństwa. Brak takiego rezerwatu stwarza bowiem już dziś dużo przykrych komplikacyj, gdy chodzi o ochronę łosi, dla których referent łowiectwa w Dyr. Lasów Państwowych w Wilnie, p. Włodzimierz Korsak musi corocznie wywalczać pewne obszary, na którychby las mógł pozostawać w pierwotnym stanie. W powyższej sprawie złożony został nawet memorjał Państwowej Radzie Ochrony Przyrody, lecz dotychczas nic się jeszcze nie zmieniło na lepsze. Przed przeniesieniem zatem niedźwiedzi do Puszczy Rudnickiej, o ile oczywiście to kiedyś nastąpi, należy bezwzględnie stworzyć dla nich pewną ostoję — inaczej cały trud i koszta aklimatyzacji mogą nie dać pożądanego rezultatu.

To przedewszystkiem musi wziąć pod uwagę Sekcja Ochrony Niedźwiedzia.



A. GROETSCHEL

Niespodziewany odyniec

Było to późną jesienią. Polowaliśmy w kilka strzelb na terenie podgórskim na zające i lisy. — Dzik nie był wprawdzie wykluczony, ale zupełnie nie spodziewaliśmy się z nim spotkać, braliśmy bowiem mioty, wprawdzie bardzo rozległego kompleksu leśnego, lecz trzymaliśmy się z rozmysłu w pobliżu pól. W tym dniu bowiem chodziło nam przedewszystkiem o lisa i szaraka, stąd też nikt z biorących udział w polowaniu myśliwych, nie miał przy sobie broni kulowej.

Polowanie dobiegało końca. Ostatni miot to kilkuhektarowy młodnik świerkowy, o wyraźnej formie trójkąta. Z pewnych względów, rozstawiłem myśliwych na dłuższej przyprostokątni. — Nagonka, mając gonić ku staremu lasowi, rozstawiła się na przeciwprostokątni. Jako prowadzący polowanie, poszedłem na ostatnie stanowisko, niemal u wierzchołka trójkąta. — Ostatni naganiacz stał naprzeciw mnie nie dalej, jak o jakie 200 kroków. — Między mojem stanowiskiem, a mym sąsiadem na prawo p. B., leżała w odległości około 70 kroków w głąb w tem miejscu dość obrzedniego młodnika, stara, zupełnie zbutwiała, lecz bardzo gruba kłoda jodłowa.

Na mem stanowisku, rzecz prosta, nie wielkie miałem szanse spotkania się ze zwierzem, najwyżej jaki chybiony szarak mógł tu szukać ratunku.

Naładowawszy obie lufy zajączakiem, dałem sygnał nagonce. Ta ruszyła, przyczem lewe skrzydło szło nieco szybciej, prawe tuż naprzeciw mnie będące, postępowało bardzo wolno.

Objąłem wzrokiem znaczną część miotu i mimowoli oczy moje spoczęły na chwilę na starej zbutwiałej kłodzie. Przez moment nie zauważyłem tam nic szczególnego, po chwili zdało mi się, że kłoda poruszyła się. W istocie z poza kłody podniósł się nagle duży odyniec i ruszył z legowiska na stary las, pod którego ścianą stała linja myśliwych i biegł ostro mniej więcej w pośrodku między mną, a mym sąsiadem.

Sprawę z góry uważałem za przesądzoną, nie było bowiem czasu na zmianę ładunków, tem bardziej, że nie miałem ich w pogotowiu, przeto zupełnie spokojnie i z pewną satysfakcją obserwowałem wspaniały bieg tego pięknego zwierza.

Inaczej natomiast rzecz miała się z moim sąsiadem: najpierw drgnął, jakby sztyletem rażony, potem gwałtownie coś manipulować począł koło swej śrutówki, wreszcie niespodziewanie ryknął na całe gardło: „pilnuj, dzik!" — Poczem znacznie ciszej, lecz głosem pełnym rozpaczy i niesłychanego żalu, począł biadać: O Boże, Boże! — Jezus Marja — Jezus Marja!

Odyniec tymczasem, jakby biadania tego wcale nie słyszał, nie zmieniał zupełnie ani kierunku, ani szybkości biegu, lecz szedł równym, precyzyjnym, a szybkim kłusem ku ścianie starego lasu.

Mój sąsiad widząc wreszcie bezskuteczność swego biadania, złożył się nagle i posłał uchodzącemu dzikowi garść śrutu zajęczego — na odległość około 50 kroków. Dzik nie zaznaczywszy zupełnie strzału, znikł w podszyciu starej dębiny. — Bardzo starannie na padłym liściu śledzony trop, nie wykazał nawet śladu farby.

W. G. S. i W. M.

Dlaczego starzy chybiają?

Pod powyższym tytułem wyczytałem na łamach „Łowca" Nr. 19 i 20 z roku 1934 i Nr. 13 z r. 1931, dwa artykuły bardzo sympatyczne. — A że i ja stary, chcę trochę polemizować, bez żadnej agresji — dla miłej pogawędki, — dlatego, że muszę się zapytać: Czy starsi Panowie chybiają!?

Nie chcąc nikomu schlebiać, zacznę od znanych mi wypadków, nie wymieniając nazwisk. Pan, w zupełnie dojrzałym wieku, przypadkowo przewrócony przez dzika, leżąc, posyła temuż śmiertelną kulę. — Z całkiem poważnemi krzyżykami na plecach, strzela obok mnie towarzysz w dublecie do dzika i słonki, a po miocie prosi mnie o odnalezienie jej. — A dzik pytam? — Ten i tak leży, — słonkę podnieśliśmy również. — Starszy pan polując na rogacze, wypuścił z siebie 9 kul w sezonie bez pudła i t. d. i t. d.

Bardzo otyły starszy pan, strzelając do drobnej zwierzyny na przemian z 12-ki i 16-tki nie robił pudeł.

A więc czy starzy chybiają?

Zacznę od polemiki do uwag umieszczonych na tem tle w Nrze 19—20.

Wszystkiemu winny ładunki.

Trudno staremu uczyć się na nowo strzelać. — Racja! Ale nie we wszystkiem. — Stary myśliwy, ma swój przyrzut, swój system i swoje błędy. — Trudno — już się nie poprawi, ale może uniknąć starzenia się w swem pojęciu.

Spróbuję udowodnić. — Gdy myśliwy kupuje broń kulową, idzie na strzelnicę i bardzo subtelnie ostrzeliwuje swój sztucer. Zmienia wycięcie wizera, dobiera muszkę, poprawia łoże i dopiero z tą samą amunicją jedzie w rewir. A cóż dopiero, jeśli kupuje lunetę — Pole widzenia, system krzyża, czy włosa, jasność widoku, są przecież pierwszej wagi i co roku przed sezonem kontrolowanie — a nuż się coś stało, przesunęło!

Przy broni śrutowej o wiele mniej zadajemy sobie trudu. Przeciętnie biorąc, sprowadzamy, lub kupujemy dubeltówkę, bardziej, lub mniej renomowanej marki (wedle stawu grobla) próbujemy rozrzut nadesłanemi ładunkami — już rzadziej perkusję — bo to uciążliwe i jedziemy na polowanie.

Starszy pan z zapasem naboi chwali sobie swoją strzelbinę z Rothweilerem, a śrótem Nr. 3,5 mm, robi rekordy. Stary wyga!

W następnym sezonie, gdy mu się skończyły ładunki, sięga po dawne zapasy. Ma drobniejszy śrót i dziś mniej używany gruby. Strzela gorzej. Postarzał się widocznie. Ha, trudno. — Ale i stary zapas się skończył. — Uprzejma firma polska daje na kredyt Sokoła, Kuropatwę, czy co bądź. — Starszy pan strzela coraz gorzej, coraz więcej się starzeje.

Czyż to wina wieku? — Nie! Starszy pan nie raczył wypróbować, jak działa jego broń przy innym Nrze śrutu, innym gatunku prochu, innym ładunku, innej spłonce i chybia.

Zapał spłonki w stosunku do wrażliwości prochu, umiar między wagą prochu a śrutu, długość lufy, której

odpowiada siła ładunku, rodzaj przybitki, stopień zakręcenia tulejki, działają przy bezdymnym prochu wcale pokaźnie na rozrzut, na perkusję i łącznie z tem, na chyżość śrutowego strzału.

Wiadomem jest, że nawet grubość przybitki na śrucie przy zwężonych lufach, chock działa na strzał, że każda broń lubi pewien numer śrutu specjalnie, że długość luf decyduje, czy proch naboju miał czas spalić się całkowicie i wywołać należyty efekt strzału. — A więc nie wiek tu winien, lecz może połączone z wiekiem — pewne zaniedbanie, obojętność, lenistwo. — Przecież używając nowej amunicji, musimy się do niej nałożyć, a przynajmniej wiedzieć, jak nią z naszej broni strzelać.

I tu przejdę do mego drugiego poprzednika w tej samej sprawie — szanownego pana Gürtlera. — Ze smutkiem stwierdzić muszę niestety, że Jemu prawie nie mogę przedstawić sprzeciwów.

Gdy się człowiek robi starszy. — Wiadomo, Boy-Żeleński. — Jak temu zaradzić? Znam starszych panów utrzymujących się wciąż w treningu. Znalem staruszków jeżdżących cały dzień na polowaniach „par force", takich z 50-ką lat jeżdżących na wyścigach i polujących w podeszłym wieku na rykowisku, wreszcie biegającego w biegu maratońskim przez 4 godziny 1 minutę i 42 sekund, 75-cio letniego pana.

To pierwsze — ale to nas starszych już nie pocieszy — trzeba zawczasu pilnować się, aby nie zardzewieć — ćwiczyć, choćby co rano przykład bronią, zmianę broni ze strzelcem (o ile ktoś ma tego „luksa" do dyspozycji) robić ćwiczenia gimnastyczne. — Pozwolę sobie nadmienić dla tych, którzy nie chcą się postarzeć, że moment rozpoczęcia treningu jest nader ważny, aby nie był późny. Z pełnem zaparciem się siebie, zdradzę własne doświadczenia.

Gdy ostatni wspaniały koń wypsnął mi się z pod nóg jako luksus, próbowałem gimnastyki pokojowej. — Będąc trochę pedantem, robiłem to bardzo dokładnie, wedle przepisu, nie zrażony uwagą książeczki, „że po kilku dniach nastąpi takie przemęczenie, że ani ręką ani nogą ruszyć — nie zrażać się, przeboleć, a potem majland".

Po 5-ciu dniach syzyfowej pracy, byłem gotów kompletnie i postanowiłem się starzeć!

Drugi przykład. — Za młodych lat w kniei w jesieni składał się człowiek do każdego drozda, sikorki czy bąka, a gdy się przekonał, że to nie łowna zwierzyna, odkładał broń. — Cóż ten marny ruch kosztował? Nic. Dziś nim się człowiek złoży, patrzy czy warto, dopiero się składa, spaźnia i już ten idealny moment złożenia naprzód przepada, a zamiast pierwszego ptaka, pada daj Boże drugi, co i mnie się zdarzyło, chociaż przychylna straż łowiecka twierdziła, że starszy pan tak szybko strzela, że pada drugi strzał przed pierwszym, ale trafia (czasem). Ociężałość ruchów, smar zgięć zgęstniał, kości pobolewają, a ścięgna sztywnieją.

Starszy pan zlazłszy z wózka, sań, czy też dożeglowawszy pieszo do swego stanowiska w miocie, z radością usadza się na myśliwskim krzesełku i tu dopiero opatruje broń, łagodzi dogodne ładunki, przysposabia się.

Czyż nie każdy z myśliwych, nie złożył się do komara na ciągu słonek i sam się śmiał ze siebie — ale był młody.

Jest kategorja wytrawnych myśliwych, którzy nigdy nie chybiają. Tym jednak renoma nie pozwala chybiać, a że i u nich ruchy wolnieją, więc strzelają tylko na pewniaka, w dogodnych warunkach, nie ryzykując, choć w czasie i przestrzeni te ich strzały stają się fenomenalne, przez lukę, na kroków X — Y, po ciemku etc. Ci się nie mogą starzeć, bo im nie wolno z reprezentacyjnych względów.

Powrócę jeszcze do jednego.

Częstokroć łożysko ładunku śrutowego jest za płytkie, aby pomieścić całą łuskę kartonową i łuska przykłada się wciśnięta przybitką do lufy. To powoduje bolesne kopnięcie w ramię, policzek i palce, a dla starszego pana, zniechęcenie do dalszego turnieju. — Poprostu obawa przed strzałem. Doświadczyłem, więc się nie dziwię. Jednakowoż po kilku takich bólach — ja przynajmniej — sprzedałem, zamieniłem, wylałem taką broń, gdyż ja chcę używać, jako myśliwy, a nie cierpieć. — Jak często i nad tem strzelec się nie zastanawia, nie bada. Naturalnie mówię o szerokiej masie, nie mającej możności Hollandów i gwarancji firm, jeśli tak nie jest, czekam na zaprzeczenie.

A jeszcze jeden moment! Brat w św. Hubercie ma strzelbinkę, z której mu się przed 30-tu laty doskonale strzelało; tymczasem w ciągu owych lat 30-tu przybyło Bratu w św. Hubercie 30 kilo, lub ubyło 20. — Czy łoże, które było przed 30-tu laty „idealne" — jest niem ciągle mimo tak poważnej zmiany w budowie ciała? — Chyba nie, bo przecież jegomość, mający 70 kg, awansując do 100, wymaga całkiem innej długości łoża i odchylenia od płaszczyzny pionowej, niż to było przed 30-tu laty. A więc trzeba u sumiennego rusznikarza (np. Kopczyński, pl. Barnardyński 3, lub Dmytrach, Legjonów 3) zbadać tę sprawę i dostroić łoże do „zdeformowanego" myśliwego — jakoże odwrotnie, nieco trudniej byłoby chyba u Dra Tarnawskiego w Kosowie! — Dłuższy i daleko kosztowniejszy proceder.

Kończę! — Nie starzy chybiają, lecz ci, którzy zaniedbali utrzymać się młodymi, ci, którzy lekko sobie ważyli, że dubeltówki, do której fabryka dostarcza z matematyczną dokładnością zrobione ładunki, niezawodnych, można strzelać jak się chce. — Nie. — Trzeba strzelać tak, jak trzeba ze swej broni nabojami X, a nabojami Y, może musi się strzelać inaczej — więcej lub mniej zakładać. — To najgorsze! — Ten atom sekundy, gdy lufa leży na zwierzynie, na który zdobyć się trzeba, aby trafić a w i ę c z a ł o ż y ć — ten w starszym wieku, ograniczonej ruchliwości, a wzmożonej ambicji, decyduje. Że mimo wszystko starzy gorzej strzelają — to moi obaj prelegenci mają rację.

Kiedy byłem jeszcze młody, byłem zuch i twardy,
Dziś, gdy szron spruszył głowę, przestałem być hardy.

A wreszcie dawniej polowaliśmy między sobą — dziś codzień nas starych ubywa. Młódź garnie się do siebie, my przeżytki, a więc coraz mniej sposobności w ćwiczeniu. Zależy też od terenu, czy się ma sposobność jako stary ubić 600 sztuk kuropatw, czy jako młody 6 sztuk. Wprawa, trening, doświadczenie, dokładność „i" zdrowie grają główną rolę. — Nie starzy chybiają, lecz ci, którym zdrowie nie dopisuje, lub którzy się zaniedbali!

Z moich spostrzeżeń przytoczę, że ktoś, który uważał jedynie jako broń śrutową kal. 12-ty, to z wiekiem woli lżejszą broń, choćby mniej kryjącą, a więc 20-tkę. Mniejsza energja przy strzale z lżejszej broni, przy rutynie i fachowości, z wiekiem daje te same dodatnie wyniki, jak za młodu garłacz, ziejący całą kupą pocisków śmiercionośnych.

Resumè. Nie starzy gorzej strzelają, lecz są mniej zachlanni, lub bardziej wstrzemięźliwi, nawałem prac obciążeni, mają mniej czasu na próby i treningi, nerwy coraz gorsze, naboje kupione „ad hoc".

Przecież dziś śmiertelnik strzelający do wyśnionego odyńca — olbrzyma — lub jelenia, noszącego cały las na głowie, nagle widzi przed sobą w myśli komornika, zamiast odyńca, a blankiety wekslowe miast poroży jelenich. — Dosyć, zabłądziłem na osobiste tory.

Główną rolę grają rozklekotane nerwy, zanik humoru, troski, kłopoty i „Manco di valuta".



Conseil International de la Chasse

Projekt zastosowania środków dla ochrony dzikiej kaczki w Europie

Streszczenie referatu Jana hr. Hartiga, wygłoszonego na trzeciej sesji M. R. Ł. i dyskusji nad nim

(Dokończenie).

Generał Kazimierz Sosnkowski Prezes P. Z. S. Ł. podniósł, że sprawa dzikich kaczek interesuje i kraje, gdzie się kaczki gnieżdżą i te, gdzie kaczki są tylko w przelotach na wiosnę lub w jesieni lub też gdzie zimują.

Dla krajów pierwszej kategorji będzie dla polowania najkorzystniejszym okresem, z zachowaniem terminów ustawowej ochrony, czas od 1 kwietnia do 1 grudnia, a mianowicie na wiosnę, przez kwiecień i maj polowanie na kaczory, a w lecie i w jesieni począwszy od połowy lipca do końca listopada polowanie na kaczki wogóle. Dla krajów drugiej kategorji, pełnym sezonem polowania jest jesień, zima i początek wiosny. Pochodzi to stąd, że gdy dla jednych polowanie się kończy, dla drugich się zaczyna i naodwrót. To też ustosunkowanie się do sprawy ochrony kaczki względnie polowania na nią, będzie stale różne, gdyż zawsze jedna grupa krajów będzie chciała ciężar ochrony przerzucić na drugą grupę.

Racjonalne rozwiązanie tej kwestji powinno nastąpić na podstawie rozumnego kompromisu.

Krajom pierwszej grupy powinno być wolno polować na kaczory w miesiącach kwietniu i maju, a na kaczki wogóle począwszy od połowy lipca, do początku grudnia.

Data otwarcia polowania proponowana przez hr. Hartiga jest zapóźną, gdyż w krajach pierwszej grupy od początku sierpnia kaczki odlatują na wielkie wody, a przeto dla tych terytorjów opóźnienie terminu otwarcia, równałoby się niemożności polowania.

Trzeba natomiast uznać, że wcześniejsze otwarcie byłoby szkodliwem, gdyż przed połową lipca jest jeszcze wiele młodych kaczek, nieumiejących latać, a te byłyby niszczone przez włościan i kłusowników.

Polowanie na kaczki będące w przelocie w miesiącach sierpniu, wrześniu, październiku i listopadzie, kiedy to one koncentrują się na wielkich wodach, jest racjonalne i nie może wywoływać zarzutów przeciw sobie, bez względu na to, w której grupie krajów jest wykonywane.

Natomiast w zimie i w czasie przelotów wiosennych, powinny być kaczki zupełnie chronione i to jest istotną potrzebą, podyktowaną troską o ich zachowanie i rozmnożę.

Niema potrzeby zakazywania polowania na kaczory w czasie od końca kwietnia przez maj, gdyż liczba kaczorów przeważa i ich odstrzał nie wpływa na stan kaczek.

Proponowane przez hr. Hartiga zamknięcie polowania na kaczki co 5 lat, względnie ograniczenia czasu polowania w tych latach na miesiące październik i listopad, nie przyniosłoby żadnego rezultatu, a byłoby obciążeniem krajów pierwszej grupy, podczas gdy w krajach drugiej grupy, możnaby przedsiębrać masowe masakry.

Racjonalniejszem byłoby może zupełne zamykanie wszędzie polowania na kaczki w latach niekorzystnych na podstawie wzajemnej umowy państw.

Instalacje, skierowane na masowe chwytanie kaczek i inne procedery zmierzające do takich wyników, powinny być absolutnie zabronione, tym to bowiem właśnie procederom należy przypisać ubytek ptactwa wodnego.

P. Geza de Kiss, Wielki Łowczy królestwa Węgier, wyraził wdzięczność hr. Hartigowi za jego akcję, zmierzającą do ochrony dzikich kaczek, których liczba zmniejsza się gwałtownie.

Przypomniał, że jeszcze podczas drugiej sesji M. R. Ł. wyraził opinję, że to zmniejszenie się przypisać należy potrzaskom i sieciom i że mu jednogłośnie wtedy przyznano, że środkami temi niszczy się najwięcej kaczek w Belgji i Holandji, że jednak urządzenia te są tak dawne, iż nie podobna znieść je doraźnie i w ten sposób przeszkodzić „kaczym żniwom". Mówca jest zdania, że jeżeli można zakazać myśliwemu polowania na jego terytorjum, to można chyba to samo zastosować do łowiących kaczki w sieci, skoro jej ochrona stała się sprawą niecierpiącą zwłoki.

Mówca zauważył, że propozycje hr. Hartiga nie wystarczają, by kaczkę krzyżówkę ochronić od zagłady. Dla jej ratowania należałoby wprowadzić zupełną jej ochronę przez dwa lata w całej Europie. Ochrona zastosowana tylko do samic nie jest uzasadnioną, gdyż krzyżówka hołduje monogamji i przez zbytnie wystrzelanie samców,

pary nie będą mogły się tworzyć. Należy też podnieść, że kaczęta krzyżówki łatwo się wywodzą i wychowują w niewoli. Byłoby zatem wdzięcznem zadaniem M. R. Ł., gdyby zachęciła myśliwych Europy do sztucznej hodowli tych kaczek. — Taka hodowla, gdyby była prowadzona dość gęsto, a intensywnie, a mianowicie w dwóch latach ochrony przez mówcę proponowanej, doprowadziłaby stan kaczek do dawniejszej jego liczebności.

—o—

Streściwszy powyżej propozycje hr. Hartiga i dyskusję nad niemi przeprowadzoną, nie mogę się wstrzymać od wypowiedzenia kilku uwag od siebie w sprawie ochrony dzikiej kaczki.

Zdaje mi się mianowicie, że skoro fakt zmniejszenia się ilości kaczek został na zebraniu M. R. Ł. stwierdzony i skoro z przebiegu dyskusji się wyczuwa, że urządzenia dla chwytania kaczek w sieci i wogóle masowe ich zabijanie przez zawodowców, a więc najważniejsze przyczyny dzisiejszego niewesołego stanu rzeczy, nie dadzą się tak łatwo usunąć, to jest obowiązkiem świata myśliwskiego przynajmniej na polowaniach sportowych, przy użyciu tylko zwykłych strzelb, unikać tego wszystkiego co nie jest odpowiednie ani ze stanowiska ekonomji łowieckiej, ani etyki myśliwskiej, ani ochrony przyrody. Obowiązek ten ciąży tem bardziej na myśliwym polskim, skoro w Polsce wszak mamy na wodach Polesia i Wołynia takie miejsca lęgowe, które z ową Dobruczą, wspomnianą w przemówieniu reprezentanta Rumunji p. Salescu, śmiało mogą współzawodniczyć.

Mnie się zdaje, że na polowaniach na kaczki nie powinna być mowa o zdobywaniu rekordów ilościowych i że powinny być one strzelane w taki sposób i w takich tylko ilościach, by to pozwalało jeszcze na ekonomiczne zużytkowanie ubitych sztuk. A tymczasem słyszy się nieraz, że na polowaniach kaczych w miejscach, gdzie ich jest jeszcze dużo, mnóstwo kaczek przepada, gdyż myśliwi obchodzą się bez psów aporterów lub że się tam kaczki strzelane w skwarne lato poprostu wyrzuca, gdyż po kilkudniowej strzelaninie, kaczki z pierwszych dni łowów są już zepsute. Słyszy się też o „szczęśliwych" strzałach w gromady kaczek na wiosnę na północ ciągnących, tudzież że takie strzały bywają oddawane i do innego ptactwa wodnego i błotnego, choćby nawet takiego, którego dziczyzna nie jest jadalną. Słyszy się, że są niestety ludzie, którzy strzelają do ptactwa poprostu dla nabycia wprawy w strzelaniu, bez zastanowienia się, że bezcelowe odbieranie życia zwierzęciu, tak tylko dla zabawy lub wykazania swej wprawy strzeleckiej, jest przeciwne etyce myśliwskiej. Dla zaprawy w strzelaniu istnieją rzutki wyrzucane z maszyny, ale nie żywe istoty.

Nie chcę tu występować przeciw polowaniom na zlotach wiosennych, gdyż wiem, że polowania te mają swych zwolenników wśród najlepszych naszych myśliwych. — Przekonany też jestem, że dobremu myśliwemu chyba tylko wyjątkowo zdaży się wypadek ubicia na wiosnę kaczki, miast kaczora. Lecz czy na owe zloty jeżdżą tylko sami dobrzy myśliwi? Czy ze strzelb myśliwych początkujących, myśliwych gorących lub myśliwych rekordzistów nie padają na wiosnę i kaczki samice, a to tem częściej, że nie u wszystkich gatunków kaczek rozróżnienie płci jest tak łatwe, jak np. u krzyżówek, cyranek i płaskonosów?

Musimy wszak brać wzgląd i na to, że chętnych polowaniu jest coraz więcej, że broń palna jest coraz doskonalszą, ale, że wód i błot jest coraz mniej, a ptaki wodne i błotne są w swych wędrówkach narażone na coraz częstsze niespodzianki i to nietylko takie, które im człowiek zgotował właśnie poto, by niemi zawładnąć, lecz i takie, które, będąc zresztą wyrazem postępu kultury, są niemniej dla nich zabójcze przy bliższem ich z niemi się zetknięciu. Wszystko to powinno nas skłonić do umiarkowania i do definitywnego uznania, że czasy, kiedy się zdawało że ptactwo przelotne jest w swych ilościach niewyczerpane minęły już bezpowrotnie i że ono nie może być dziś przedmiotem ilościowych rekordów.

A. Sander.



Ku ochronie przepiórki

Hr. d'Adix, sekretarz generalny Międzynarodowej Rady Łowieckiej, zwrócił się do nas z prośbą, o zamieszczenie komunikatu w sprawie obecnego stanu przepiórek.

Mianowicie M. R. Ł., która od kilku lat czyni energiczne starania w kierunku podniesienia stanu tego ptaka i otrzymała już wiadomości o pewnem podniesieniu się jego liczebności, zwraca się z apelem do wszystkich myśliwych Europy, by podawali jej do wiadomości ile widzieli lub zastrzelili przepiórek, z podaniem miejscowości, poczynionych obserwacyj.

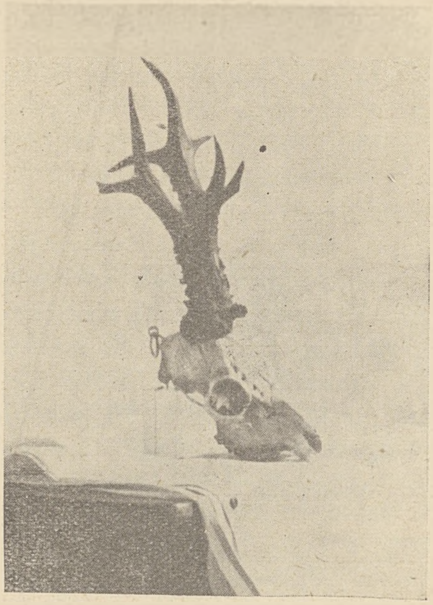
Wiadomości te należy przesłać pod adresem Conseil Internationel de la Chasse, 21 rue de Clichy, Paris 9.

—o—

Od siebie dodajemy, że dla Międzynarodowej Rady, będą niewątpliwie pożądane nie tylko obserwacje z ostatniego sezonu lecz i poczynione w sezonach poprzednich, zatem myśliwi prowadzący zapiski, powinniby naszem zdaniem, podać rezultaty swych spostrzeżeń lub polowań od czasu wojny, skoro jest notoryczne, że od tego właśnie czasu liczba przepiórek ogromnie była spadła.

Wiadomości adresowane pod wskazanym adresem mogą być podawane także w języku polskim, gdyż biuro Rady, rozporządza z pewnością tłumaczami różnych języków. Sądzimy jednak, że korespondencje tam wprost skierowane, należałoby dla pewności, bez względu na język w nich użyty, tytułować: „Renseignements au sujet de la caille" (Coturnix coturnix).

Korespondencje w tej sprawie do nas adresowane, skierujemy oczywiście zaraz do biura M. R. Ł. A. S.



Rogacz ósmak, zabity dnia 5, VIII. 1934, w lasach Eustachego br. Horocha w Stanisłówce, przez inż. T. Sroczyńskiego. Wysokość: prawy 25 cm., lewy 27 cm., obwód róż 23 cm., obwód pnia prawego nad różą 11 cm., lewego 10·5 cm.. Uperlenie bardzo dobre. Waga 470 gr.

Z Karpat

(Uzupełnienie).

Po otrzymanych uzupełniających informacjach co do przebiegu tegorocznego rykowiska, możemy teraz dopiero podać ogólny rezultat tych wspaniałych łowów. Ogółem mamy zanotowanych 136 ubitych byków, w tem 25% kapitalnych. Z tych najwięcej godnemi wzmianki są: Jerzego hr. Potockiego 18-ak (Polanica), Lud. Cieńskiego 2 18-aki (Perehińsko), hr. Raczyńskiego 16-ak (Rafajłowa), hr. A. Stadnickiego 18-ak (Rytro), gen. Sosnkowskiego 12-ak (Iłemnia), gen. Fabrycego 12-ak (Solotwina miz.), J. Targowskiego 18-ak (Worochta), Ks. Schoenburg 18-ak (Perehińsko), hr. Coloredo-Mansfeld 14-ak (Tatarów) ect.

W Wełdzirzu ubito 10 10-aków, 1 14-aka i 1 18-aka.

W Wyżłowie koło Ławocznego padły 2 byki, 14-ak ubity przez właściciela p. Skarbek Borowskiego i 8-ak, ubity przez hr. Tad. Dzieduszyckiego.

W Lesku, ubił 1 jelenia St. hr. Krasicki, w Jabłonce padły 2, w Kalnicy 4, w Wetlinie 3 byki. A. M.

SPROSTOWANIE: W ostatnim numerze, Z K a r p a t pod J a s i e ń, ma być: Ludwik, a nie Leon hr. Mycielski.

Korespondencje

W dniach 18, 19 i 20 października b. r., odbyło się polowanie w dobrach Wiszeneckich, pod sprężystem kierownictwem p. Jana Stanka, gospodarza tej kniei. Na rozkładzie znalazło się 145 zajęcy, 4 kuropatwy, 11 słonek, 12 lisów i odyniec wagi 182 kg.

W polowaniu wzięło udział 12 uczestników. Królował Stanisław Zawidowski, szczęśliwy zdobywca pięknych szabel dziczych. Z. S.

Łany Sieleckie, 13 listopada 1934.

Dnia 3 listopada polowano w 14 strzelb przy pięknej pogodzie, w lasach Spas, pow. Kamionka Strumiłowa, własność Kazimierzostwa Bartmańskich. Na rozkładzie: 5 lisów, 1 kuropatwa i 56 zajęcy, najwięcej ubił Jan Madeyski — 10 zajęcy i kuropatwę. — Polowanie bardzo sprawnie i szybko, prowadził inż. Roman Bartmański. Słonki strzelano bez rezultatu.

Dnia 12 listopada, odbyło się polowanie w Pawłowie, marszałka Romana Ujejskiego, w powiecie Radziechów, w 8 strzelb. — Na rozkładzie 1 lis, 1 słonka, 1 kuropatwa i 34 zajęcy — widziano 6 słonek. — Najwięcej ubił Andrzej Madeyski — 8 sztuk. Polowanie doskonale prowadził wnuk sędziwego właściciela, Andrzej Bartmański. Pochmurny zimny dzień. G.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału w dniu 12 października 1934 r.

Obecni: Prezes J. hr. Bielski, wiceprezesi: A. Mniszek, A. Sander; członkowie: Z. Gronziewicz, T. Jędrzejowicz, S. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz, inż. T. Sroczyński i A. Ulm, oraz zastępcy członków St. Jaśkiewicz i inż. Z. Sander.

Usprawiedliwili nieobecność: S. Gajewski, Dr. K. Obmiński, C. Perini, H. Prek, J. Stanek, Dr. W. Ziembicki i M. Chrzanowski.

Wydział ukonstytuował się w następujący sposób: Sekretarz M. Chrzanowski, zastępca sekr. inż. T. Sroczyński, skarbnik S. Pieńczykowski, zastępca skarbnika inż. Z. Sander.

Referat spraw delegatów, oraz spraw odznaczeń, poruczono nadal A. Ulmowi.

Między innemi, zapadły następujące uchwały:

Przyjęto sprawozdanie z zawodów strzeleckich, odbytych 6 i 7 października. Przyznano żetony zwycięzcom w tych zawodach, mianowano delegatem na powiat łańcucki inż. Stanisława Zwolińskiego, przyjęto nowych członków: Włodzimierza Puchalskiego ze Lwowa, Władysława Gniewosza ze Lwowa, Stefana Rylskiego z Turzy i inż. Stefana Chrzanowskiego z Kosmacza.

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału w dniu 2 listopada 1934 r.

Obecni: Prezes J. hr. Bielski, Wiceprezesi: A. Mniszek, A. Sander; członkowie: S. Gajewski, W. Garapich, T. Jędrzejowicz, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz, inż. T. Sroczyński, A. Ulm i M. Chrzanowski, oraz zastępcy członków: S. Jaśkiewicz i Dr. K. Obmiński.

Usprawiedliwili nieobecność pp.: W. hr. Gołuchowski, K. Perini, S. Pieńczykowski, H. Prek, inż. Z. Sander, J. Stanek i Dr. W. Ziembicki.

Wydział udzielił członkowi Zarządu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Ulmowi swoich opinij, odnośnie do spraw postawionych na porządku dziennym mającego się odbyć w Warszawie posiedzenia Zarządu Związku, oraz załatwił szereg spraw bieżących.

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału w dniu 12 listopada 1934 r.

Obecni: Prezes J. hr. Bielski, Wiceprezesi: A. Mniszek i Dr. A. Sander; członkowie: Dr. S. Gajewski, W. Garapich, Z. Gronziewicz, C. Perini, S. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz, inż. T. Sroczyński, A. Ulm, Dr. W. Ziembicki. Zastępcy członków: S. Jaśkiewicz. Nieobecność usprawiedliwili: M. Chrzanowski, W. hr. Gołuchowski, Dr. K. Obmiński, inż. Z. Sander, J. Stanek i T. Zan.

A. Ulm składa sprawozdanie z posiedzenia Zarządu głównego P. Z. St. Łow. w Warszawie, odbytego w dniu 5 listopada b. r. Oznajmia, że na posiedzeniu tem odznaczeni zostali najwyższem odznaczeniem łowieckiem „Złomem", nasi Członkowie honorowi: arcks. Karol Olbracht z Żywca i ks. Andrzej Lubomirski z Przeworska.

Wiceprezes A. Sander przedkłada sprawozdanie kasowe, z którego wynika, że z powodu niewpłacania przez Członków wkładek, położenie finansowe Towarzystwa jest ciężkie. Celem uzdrowienia stosunków, uchwalono na wniosek Dr. Ziembickiego, powołać komisję dla sanowania Towarzystwa. Do komisji zostali wybrani: Z. Gronziewicz, J. Rosienkiewicz, Fr. Piechowski, A. Sander i W. Ziembicki.

KOMUNIKAT

Na posiedzeniach, odbytych w czasie od czerwca do 12 października 1934 r., Wydział przyjął do Towarzystwa następujących nowych członków: Inż. Ignacego Konopkę ze Strzyżowa, Koło Łowieckie w Rypnem, inż. Bronisława Welczera ze Lwowa i Towarzystwo Łowieckie „Knieja" ze Stanisławowa.

Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 27 sierpnia 1934 r.

(Dokończenie)

W województwie tarnopolskiem.

Na powiat Borszczów: Juljusz hr. Dunin-Borkowski, Mielnica — Cyryl Czarkowski-Golejewski, Wysuczka p. Borszczów — Agenor hr. Gołuchowski, Skała nad Zbruczem — Paweł Florjan ks. Sapieha — Bilcze-Złote.

Na powiat Brody: Zygmunt Kostkiewicz, Szwaby p. Brody, Albert hr. Sumiński, Podkamień koło Brodów — Józef hr. Tyszkiewicz, Brody, ul. Mickiewicza 28.

Na powiat Brzeżany: Paweł Lang, Brzeżany — Józef Scholc, Brzeżany.

Na powiat Buczacz: Stanisław Bogusz, Kowalówka p. Monasterzyska — Władysław Czaykowski, Sokulec, Potok-Złoty; Mikołaj Dutkiewicz, Koropiec — Jan Gołębski, Pilawa p. Buczacz; Erazm hr. Korytowski, Zaleszczyki Małe p. Jazłowiec.

Na powiat Czortków: Tadeusz Potocki, Uhryń p. Czortków.

Na powiat Kamionka Srumiłowa: Tadeusz Rakowski, Kamionka Strumiłowa — Edmund Stawowczyk, Połoniczna p. Chołojów.

Na powiat Kopyczyńce: Stanisław hr. Siemieński, Chorostków.

Na powiat Podhajce: Stanisław Stobiecki, Sulewy p. Podhajce — Zygmunt Strigl, Łysa p. Zawałów.

Na powiat Przemyślany: Karol Etterle, Przemyślany.

Na powiat Kałusz: Henryk Prek, Łuka p. Bukaczowce. Marjan Wolański, Ostałowice p. Przemyślany.

Na powiat Radziechów: Władysław Gołębiowski, Pukaczów p. Radziechów — Stanisław Krajewski, Ohladów.

Na powiat Skałat: Kazimierz Grocholski, Rożyska p. Tarnoruda — Inż. Leon Prelicz, Skałat — Aleksander hr. Zalewski, Ostapie p. Grzymałów.

Na powiat Tarnopol: Wiktor Czarkowski-Golejewski, Janówka p. Tarnopol.

Na powiat Trembowla: Jan Gromnicki, Laskowce p. Mogielnica — Romuald Zalanowski, Młyniska p. Janów koło Trembowli.

Na powiat Zaleszczyki: Benedykt Brykczyński, Winiatycze p. Korolówka koło Borszczowa — Franciszek bar. Heydel — Beremiany p. Zaleszczyki — Inż. Grzegorz Zarygiewicz, Iwanie Złote p. Uścieczko.

Na powiat Zbaraż: Władysław Małecki, Roznoszyńce p. Zbaraż.

Na powiat Zborów: Stanisław Zawidowski, Nuszcze.

Na powiat Złoczów: Kazimierz Ćwiczyński, Złoczów — Gen. Inż. Walery Maryański, Ryków p. Płuchów.

Odczytano pismo Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, skierowane do Związku z prośbą o wypowiedzenie się w sprawie ewentualnej potrzeby wprowadzenia terminów ochronnych dla żórawi i czapli na terenach województw wschodnich, ze względu na masowe tępienie tam tych gatunków.

Po dyskusji, w której zabierali głos pp.: inż. Knothe, hr. Potocki, gen. Skrzyński i inż. Rotkel, postanowiono stanowisko Związku w tej sprawie zreferować, jak następuje:

1) z uwagi na to, że czaple posiadają wiele całkowicie chronionych miejsc lęgowych, gdzie mnożą się bez żadnych przeszkód bardzo licznie, że jednak stanowią typ drapieżnika w rybołóstwie, wyrządzającego wielkie szkody nietylko w ramach zdobywania dla siebie pokarmu, lecz ponadto niszczą i kaleczą wiele ryb wskutek ogromnej swej drapieżności — jakakolwiek dodatkowa ochrona w miejscach nielęgowych jest całkowicie niewskazana;

2) co do żórawi, to upolowanie żórawia przedstawia niezmierne trudności wobec wyjątkowej ostrożności tego ptaka i zamieszkiwania przezeń mało dostępnych miejsc, a ponieważ myśliwi rzadko i tylko przygodnie polują na żórawie, jeśli spotykają się miejscowości, gdzie ilościowo stan żórawi zmniejsza się, należy to przypisać raczej wpływom osuszania błot, a więc odebrania żórawiom tą drogą naturalnych warunków ich bytowania, a nie akcji ludzi; z tem wszystkiem do wprowadzenia czasu ochronnego dla żórawi w rejonach, gdzie występuje wydatne zmniejszanie się ich stanu ilościowego, Związek odnosi się przychylnie.

P. Skrzypek zakomunikował o zorganizowaniu się powołanej w dniu 9 lipca b. r. Komisji Propagandowej Związku, co nastąpiło 23 b. m. i przedstawił ustalony zakres działalności oraz rozkład pracy pomiędzy poszczególnych członków. Następnie p. Skrzypek przedstawił budżet rozchodowy Komisji do końca r. b. w sumie zł. 1.000. Wydział Wykonawczy budżet ten zatwierdził. W sprawie rozszerzenia działalności Komisji na Oddziały Związku, Wydział Wykonawczy upoważnił Komisję do bezpośredniego zwracania się w miarę potrzeby do Oddziałów.

Na wniosek p. Skrzypka, Wydział Wykonawczy postanowił zwrócić się do p. prof. Gieysztora z prośbą o zbadanie możliwości otrzymania ulg w opłatach kolejowych dla jadących na polowania członków Związku i o przeprowadzenie w tym kierunku starań. Uzyskanie takich zniżek byłoby wybitnym atutem propagandowym wśród niezrzeszonych w Związku myśliwych.

P. gen. Skrzyński zreferował przebieg konferencji, jaka miała miejsce w dniu 27 b. m. w lokalu Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych, w której uczestniczyli, prócz przedstawicieli Dyrekcji Naczelnej, przedstawiciele Instytutu Doświadczalnego, Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich — w sprawie utworzenia rezerwatu w dorzeczu Czeremoszów w Karpatach. Na posiedzeniu tem ustalono stworzenie rezerwatu we współdziałaniu z Rumunją i Czechosłowacją (łącznie około 86.000 ha), przyczem ustalono, że gospodarzem na terenie rezerwatu w granicach Polski będzie Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, zaś opiekę także sprawować będą Państwowa Rada Ochrony Przyrody i Dyrekcja Naczelna Lasów. Państwowych. Na konferencji tej położono nacisk na to, ażeby przez odpowiednie wpływy dążyć do wzmocnienia w tamtym rejonie ochrony zwierzostanów, przed niebywale rozpanoszonem tam, gromadnem kłusownictwem.

Wkońcu września r. b. członkowie Komisji dla utworzenia rezerwatu, udadzą się tam w celu dokonania wizji lokalnej terenu i warunków, oraz powzięcia w związku z powyższem szczegółowego planu dalszej akcji. Postulat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, dotyczący wyłączenia wilków z pod ochrony na terenie rezerwatu, został przyjęty w tej formie, że tylko w razie tak dokładnego wytępienia tych drapieżników, iżby pozostały tam nieliczne już egzemplarze, ochrona obowiązywałaby i co do nich. Nadto wyrażono zgodę na stosowanie w rezerwacie selekcyjnego odstrzału zwierząt łownych.



IV. Jesienne Popisowe Strzelanie w Zborowie

W dniu 7 października 1934, odbyło się w Zborowie doroczne jesienne strzelanie popisowe, przy udziale licznie zgromadzonej publiczności i przy współudziale myśliwych powiatu zborowskiego, jakoteż gości „zagranicznych", z powiatów tarnopolskiego i zaleszczyckiego. — Przy chmurnej, ale bezdeszczowej pogodzie strzelanie rozpoczęto konkurencją do tarcz stałych na 50 m.

Wyniki:

Strzelanie I. Tarcza stała na 50 m z broni małokalibrowej (równocześnie strzelanie o odznakę strzelecką). Możliwych pkt. 100.

1 miejsce zdobywa p. Stanisław Zawidowski, 96 pkt. — otrzymuje nagrodę p. st. Sykory, srebrną papierośnicę.

2 miejsce p. Kazimierz Wolski, 94 pkt. — otrzymuje nagrodę p. Lipińskiego, garnitur marmurowy na biurko.

3 miejsce p. Jaworowski, 91 pkt. — otrzymuje nagrodę P. W. żeton.

4 miejsce p. Zaborowski, 90 pkt. — otrzymuje nagrodę p. Wyszkowskiego, żeton.

Strzelanie II. Tarcza stała na 25 m z broni małokalibrowej. — Strzelanie pań.

1 miejsce zdobywa Pani Stafijowa, 85 pkt. — otrzymuje nagrodę p. Wyszkowskiej, flakon kryształowy.

2 miejsce p. Wyszkowska, 85 pkt. — otrzymuje nagrodę p. Zawidowskiej, bombonierа.
3 miejsce p. Sykorowa, 83 pkt. — otrzymuje nagrodę p. Sykorowej, flakon na kwiaty.
4 miejsce p. Zawidowska, 82 pkt. — otrzymuje nagrodę P. W. żeton.
Strzelanie III. Tarcza stała na 100 m, jeleń. Maximum pkt. 25.
1 miejsce zdobywa p. Mieczysław Wartanowicz, 22 pkt. — otrzymuje nagrodę p. st. Kocóła, Ryngraf myśliwski.
2 miejsce p. Klimczak, 20 pkt. — otrzymuje nagrodę p. notarj. Czernego, postument z orłem.
3 miejsce p. Antoni Sykora, 20 pkt. — otrzymuje nagrodę p. Wolskiego, zegar.
4 miejsce p. Stanisław Zaborowski, 19 pkt. — otrzymuje nagrodę Banku Zaliczkowego, termos.
Strzelanie IV. Dzik ruchomy 50 m, 5 strzałów. Max. pkt. 60.
1 miejsce zdobywa p. Stanisław Zaborowski, 51 pkt. — zdobywa nagrodę p. burmistrza Kostułowskiego, ryngraf myśliwski.
2 miejsce p. Köhli, 48 pkt. — zdobywa nagrodę p. dyr. Buczkowskiego — zegar.
3 miejsce p. Wyszkowski, 43 pkt. — zdobywa nagrodę Burmistrza zborowskiego, żeton.
4 miejsce p. Antoni Sykora, 42 pkt. — zdobywa nagrodę p. Köhlego, kordelas.
Strzelanie V. Dzik ruchomy — 3 dublety, 50 m. Max. pkt. 72.
1 miejsce zdobywa p. Kazimierz Wolski, 57 pkt. — otrzymuje nagrodę p. Niezabitowskiego, srebrną papierośnicę.
2 miejsce zdobywa p. Köhli, 53 pkt. — otrzymuje nagrodę O. T. R. Zborów, futerał na strzelbę.
3 miejsce p. Stanisław Zawidowski, 43 pkt. — otrzymuje nagrodę „Kniei Nuszcze", garnitur do papierosów.
4 miejsce p. Wyszkowski, 38 pkt. — otrzymuje nagrodę P. W. żeton.

Organizatorzy zawodów wywiązali się ze swego trudnego zadania bez zarzutu, mając doświadczenie nabyte z lat poprzednich. Udoskonalono i poprawiono wszystko, co się tylko dało udoskonalić. Przebudowano strzelnicę, wycementowano wszystkie schrony, posadzono drzewka i strzelnica przedstawia się dziś nad wyraz solidnie i estetycznie. Pan Starosta Kocół, jako główny organizator zawodów, dołożył wiele trudu, starań i drogiego czasu, by wszystko szło gładko i sprawnie i żeby wybudowana i ciągle ulepszana przez Niego strzelnica, była magnesem, przyciągającym myśliwych na miłe zawody coroczne.

Ciężki obowiązek sędziowania spadł w tym roku znowu na Panów: Dyr. Buczkowskiego Józefa, bez którego doświadczenia w tym kierunku, szwankowałaby całość, na Pana Zajączkowskiego Tadeusza i Pana Stafieja Jana. Sprawiedliwie i skrupulatnie wymierzali sprawiedliwość każdemu, trzymając się ściśle regulaminu, za co im na tem miejscu, dzięki składamy.

Po rozdaniu nagród zebrali się zawodnicy u Pana Starosty Kocóła na przyjęciu, a dziękując za już — i prosząc na drugi rok o jeszcze — rozjechali się, uwożąc 20 pięknych nagród i jak najmilsze wspomnienia.

S. Z. del. M. T. Ł. na pow. Zborów.

ODSTRZAŁ NIEDŹWIEDZIA. Fundusz Zapomogowy Klucza Skolskiego, sprzedaje odstrzał niedźwiedzia w terminie do 15 XII 1934 r., w cenie zł. 2.600. — Bliższych informacyj udziela Fundusz Zapomogowy Klucza Skolskiego, Skole — Groedlowo.

TREŚĆ NUMERU 23—24:

Odezwa Wydziału M. T. Ł. — *Doc. Dr. Kazimierz Wodzicki*: O Białkowieckich gawronach i pustułkach i nieco o ich wędrówkach.— *Antoni Pisuliński*: Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (c. d.) — *C. C. G.:* Z Perehińska. — *Adam Stadnicki:* Z rykowiska. — *Kazimierz Wysocki:* Bocian biały. — *Leopold Pac-Pomarnacki*: Niedźwiedzie na Polesiu. — *A. Groetschel:* Niespodziewany odyniec. — *W. G. S.* i *W. M:* Dlaczego starzy chybiają. — *A. Sander*: Conseil International de la Chasse (dokończenie). — Ku ochronie przepiórki. — *A. M.:* Z Karpat (uzupełnienie). — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa. — Komunikat. — Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich (dokończenie). — IV. Jesienne Popisowe Strzelanie w Zborowie. — Ogłoszenia.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-te Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32